

## IDYLLA

Dawno to było. Dwoje małych dzieci,  
Pobrawszy się za ręce, po kwiecistych  
Podgórskich łąkach, w poprzek niw, po wąskiej  
Ścieżynie polnej, w letni dzień gorący —  
Szło ze wsi.

Starszy z dwojga chłopczyk był  
Z oczyma niebieskimi, białowłosa,  
Z wierzbowym koniem w ręku. Za pazuchą  
Kęs chleba spory miał i dwie stokrotki  
Zatknięte na pilśniowym kapeluszu.  
Dziewczyna prowadziła go za rękę,  
Choć mniejsza. Oczka niby dwie tarniny,  
Jak dwa węgliki rozżarzone, żywo  
Biegały wkoło. Jak ogonek mysi  
Wisiąca z tyłu kosa, a przy końcu  
Czerwona wstążka była w nią wpleciona.  
W małej, popodpinanej zapaseczce  
Niosła kartofli upieczonych parę.  
A strączki grochu zielonego widać  
Z poza pazuchy.

Chłopczyk jakoś nierad  
Kroczył i wciąż oglądał się nieśmiało;  
Dziewczynka szczebiotała bezustanku,  
Towarzyszowi dodając odwagi.  
— Fe, wstydz się! Darmoś wyrósł taki duży,  
A płakać chcesz! Oto mi chłopiec, co się boi,  
A czego bać się? Już gdy ja ci mówię,  
To musi to być prawda! Już to moi  
Babunia nie z tych, co to kłamać lubią.  
Ty tylko spojrzysz, czyż to tak daleko?  
Na ten pagórek, stamtąd Dział<sup>1</sup> już blisko,  
A tam my Działem w górę, ciągle w górę,  
Aż na sam szczyt. I koniec. Tam spoczniemy;

---

<sup>1</sup> Działem nazywają podgórszy rusini w Galicji pierwsze, najniższe pasmo Karpat, dzielące «góry» od «dołów».

A może nie... co mamy tam spoczywać,  
Gdy stamtąd już tak blisko?... Krzyknij: U!  
I pobiegniemy prosto razem do tych  
Żelaznych słupów, co podparły niebo.  
A tam schowamy się za słup i cicho,  
Cichutko przeczekamy do wieczora.  
I żebyś ty mi nie śmiał ani pisnąć,  
Nie mówię — płakać! Słyszysz? Bo jak nie,  
To ja ci dam! A jak nastanie wieczór,  
Słoneczko przyjdzie na nocleg do domu,  
Do bram zapuka, to my cichuteńko,  
Ostrożniuteńko podpełzniemy za nim.  
Bo wiesz ty, co babunia mi mówili?  
U niego jest córeczka — taka śliczna,  
Że ci aż strach! I ona co wieczora  
Odmyka ojcu bramę i co rana.  
A dzieci lubi tak, że ci aż strach!  
Lecz słońce dzieci do niej nie dopuszcza,  
By z nimi w świat nie uszła. Lecz my cicho  
Tak podpełzniemy — czmych! — i ją za ręce  
Chwycimy, to już słońce wtenczas nic nam  
Nie robi. Tylko ty mi się nie lękaj  
I płakać nie śmieć! Przecież to tak blisko,  
J na drogę mamy dosyć z sobą.  
A ta panienska da nam dużo, dużo  
Wszystkiego, o co tylko poprosimy.  
O cobyś ty ją prosił?

Spojrzał na nią

Chłopczyzna zwolna, palec w usta włożył  
I mówi: — «Mozeby lepszego konia?»

— Cha, cha, cha, cha! — zaśmiała się dziewczyna.

— No, cóż, to mozeby kapelus nowy?

— Proś o co chcesz, a już wiem, wiem, wiem,  
O co ja prosić będę.

— Cóż takiego?

— Aha, nie powiem!

— Powiedz, bo ja zaraz

Zapłacę!

— Oho, płacz! Ja sobie sama  
Pójdę i ciebie nie zabiorę z sobą.

— No a dlacęgoz mi nie powiesz?

— Boś ty

Głupi! Wiesz, co babunia powiadali?

Są u niej takie jabłuszka złociste.

Komu jabłuszko takie podaruje,

Ten cały wiek swój będzie zdrów, szczęśliwy,  
I piękny, ach! Na podziw wszystkim ludziom.  
Lecz te jabłuszka tylko dla nas dziewcząt.

— Ja chcę jabłuska! — zapłakał chłopczyzna.

— Nie płacz, głuptasie! Tylko nie zapomnij

Prosić ją ładnie! A jak dostaniemy

Po takim jabłku, to wrócimy do dom,

I ani słówka przed nikim! Nie powiesz?

— Nie powiem.

— No, pamiętaj, bo jak powiesz,

To ci odbiorą! Trzeba tak zachować,

By nie znaleźli. Wiesz co, ty dasz mnie

I swoje, schowam je oboje razem,

Bo ty głupiutki, u ciebie odbiorą.

Czy tak? —

— A tak, — chłopczyzna rzekł. I poszli.

Od tego dnia minęło wiele lat

Daleko ponad spodziewanie dzieci

Długą i ciężką pokazała się

Ta podróż do pałacu słonecznego.

Trawy, i niwy, i niebo, i słońce —

Wszystko zmieniło się w oczach chłopczyka.

Tylko niezmienną pozostała jedna —

Ta jego towarzyszka, przewodnica.

Jej szczebiot żywy, miły i wesoły,

Jej uśmiech, jej nadzieja niegasnąca,

To żywa nić, co wiąże w jego sercu

Dzisiejszy dzień z wczorajszym i jutrzejszym.

Nie zmienił się i cel ich za ten czas,

Lecz wzrósł, rozjaśniał i rozwinął się.

I oto wielkim i ludnym gościńcem,

Śród zgietku, swarów, poszturchiwań tłumy

Idą, w swoich piersiach jako skarb najdroższy

Chowają czyste serca swe dziecięce.  
Gdy mija ich nadęty, dumny głupiec,  
To się rozśmieje; mija pan bogaty,  
To i nie spojrzy; a gdy chłopiec spotka,  
To poda im w spiekotę świeżej wody,  
Pokaże ścieżkę, na nocleg zaprosi  
I da przytułek w słotę, w czas burzliwy.  
I oni, wzięwszy się za ręce, cicho,  
Radośnie, bez zwątpienia i bez trwogi  
Idą — złotemu słońcu na spotkanie.

Lwów